

MAŁE REAKTORY

Galina Piatusowa (Галина Пятусова), 64 lat. Nadal czynna zawodowo lekarka. W Czarnobylu zajmuje się profilaktycznymi badaniami wszystkich pracowników pracujących w obszarze 30 kilometrowej zamkniętej strefy.

Tło

Urodziłam się w Rosji, na Syberii, w obwodzie czytyjskim. Tata był wojskowym, mama też. Oboje przeżyli wojnę. Tata pracował w wywiadzie, mama w kontrwywiadzie. I dlatego ciągle gdzieś jeździliśmy, cały czas byliśmy w rozjazdach. A tutaj znalazłam się po skończeniu Instytutu. Z mężem szukaliśmy miejsca, żeby się wyrwać z naszych zamkniętych miast, gdzie z nikim się nie kontaktowaliśmy (*tzw. zamknięta struktura administracyjno-terytorialna – miasto o ograniczeniach w przemieszczaniu się i zamieszkiwaniu z uwagi na znaczenie militarne i atomistykę – przyp.A.P.*). I tak znaleźliśmy właśnie to miejsce. Najpierw przyjechał tu brat, który był likwidatorem. Potem przyjechał mąż, a ja na podstawie skierowania. Byłam skierowana do obwodu czytyjskiego, na granicę z Mongolią, a przyjechałam do Prypeci, wezwano mnie. I w ten oto sposób się tu znalazłam.

Miasto

Prypecь była bardzo młodym miastem. Średni wiek mieszkańców Prypeci to 26-27 lat. To było młode miasto, było bardzo dużo dzieci. To było bardzo piękne miejsce: jeziora, rzeki, z jednej strony Białoruś, z drugiej strony Ukraina Centralna. Miasto było nowe, czyste i piękne.

Zjechaliśmy tu z Sverdlovska, Tomaska, Żółtych Wód, Krasnoturinska, Krasnokamieńska. W Prypeci od 1977 zaczęli budować CzAES (Czarnobylska Elektrownia Jądrowa). I kiedy miał miejsce wybuch – to na pierwszych domach leżał grafit, kawałki grafitu. A nasze dzieci, 26-ego, po awarii, wchodziły na te domy, żeby popatrzeć jak pali się reaktor.

Na stadionie lądowały helikoptery, które przelatywały nad reaktorem, a tam było tysiące rentgenów. Potem umieszczaliśmy te helikoptery jako odpady w składowiskach, bo same świeciły jak reaktor, a nasze dzieci na ten stadion przybiegały i patrzyły na te samoloty.

Byłam na jednym zamkniętym zebraniu partyjnym. I tam powiedzieli, że ogólnie rzecz biorąc, każdy mieszkaniec Prypeci dostał nie mniej niż 75 remów, a 25 remów to już dawka, przy której człowiek nie powinien się stykać z radiacją.

Po prostu opowiem wam jak to było ze mną 26-ego. Jestem lekarzem pediatrą. Byłam. Teraz jestem internistą. 26 –ego jakoś nie najlepiej się czułam. Wzięłam tabletkę nasenną i położyłam się spać. Obudziłam się, bo usłyszałam jakiś hałas. Przebudziłam się i jakoś tak intuicyjnie poczułam, że to wybuch atomowy, że zrzucili bombę atomową na Kijów. Siedzę na łóżku i myślę - teraz będzie promieniowanie świetlne, a potem fala uderzeniowa. Ale nic takiego się nie wydarzyło. Więc położyłam się i znowu zasnęłam. Tym razem obudził mnie dzwonek telefonu. To dzwoniли moi przyjaciele i powiedzieli: Galina, w elektrowni jest bardzo poważna sytuacja. Wypij jod, daj jod dziecku, zamknij okna, nabierz wody, włącz radio i słuchaj komunikatu. O 6 powinien być komunikat.

Wszystko to zrobiłam, ale o 6 komunikatu nie było, o 7 też żadnego. A my dosłownie w przeddzień, tydzień wcześniej dostaliśmy tabletki z jodem i rozdaliśmy je po przedszkolach, po wszystkich szkołach. A w przychodni dla dorosłych jod został tylko dla dorosłych. Powiedziałam do swojego syna -idź do szkoły i tam dostaniesz swoją porcję jodu, dlatego że już fama poszła, chociaż oficjalnie niczego jeszcze nie było wiadomo. Dzień był piękny, bardzo słoneczny, ciepły, były kałuże. Dzieci biegały po ulicy, dreptały po tych kałużach. Nie było żadnej paniki, nic a nic, niczego nie było widać, ani słychać. Jedyne co wszystkich interesowało, to że jest mgiełka, coś dymi, że jakieś ciche uderzenia słychać.

Wieczorem, jakoś tak po obiedzie wezwali nas i powiedzieli, żeby natychmiast rozdawać tabletki, a ludzie zaczęli się zamykać. W nadziei, że nasze dzieci dostaną tabletki w przedszkolach i szkołach, wzięliśmy opakowania tabletek tylko dla dorosłej ludności i kiedy zaczęliśmy wieczorem przychodzić do mieszkań, okazało się, że ani dzieci ani dorośli ich nie dostali. Po prostu nie starczało nam tabletek. Na przykład, jeśli dostałam tabletki dla 5 domów, to obeszłam 2 i już mi tabletek nie starczało. Dlatego też nie wszyscy dostali je na czas.

Zadzwonili nasi znajomi – trzeba natychmiast wywozić dzieci. My i nasi znajomi - było nas 5 rodzin - zebraliśmy dzieci do trzech samochodów i nasi mężowie pojechali je wywieźć. Chcieliśmy je wywieźć do Kijowa ale mężowie z dziećmi wrócili po 3 godzinach. Nie wypuścili ich. Próbowali jakiś tam objazdów, szukali jakiegoś miejsca, żeby się wydostać, ale ich i tak nie wypuścili. Wszyscy wrócili.

Kiedy na drugi dzień ewakuowano Prypeć, równo o 12 pod każdy podjazd był podstawiony autobus. Już ogłosili, że będzie ewakuacja. Mamy niczego nie brać, tylko dokumenty i na pierwsze trzy dni wodę i niedużą ilość jedzenia. Za trzy dni mieliśmy wszyscy wrócić. I wszyscy wychodzili, ewakuowali absolutnie wszystkich, nikt nie mógł zostać w domu. Do mnie zapukał milicjant, otworzyłam drzwi i mówię: ja nie mogę jechać. Jestem lekarzem a syna nie ma w domu. A on popatrzył na listę i mówi, że nie ma mnie na liście, na której są osoby, które mają zostać. Ja zamykam drzwi, a on nogę w drzwi wstawił i powiedział: „Zaraz wyważę te drzwi, pani pojedzie, drzwi zostaną otwarte, a kiedy pani wróci po trzech dniach, ja nie gwarantuję, że was nie okradną, że coś z domu nie zginie.” I byłam zmuszona wyjść i wsiąść do tego autobusu.

A potem nas ewakuowano i zostali lekarze, którzy wywozili chorych, którzy nie mogli się ruszać. Do 1 maja wywozili chorych samochodami. To znaczy karetkami. Pierwsi pojawili się naturalnie koło reaktora – płonącego. Kiedy lekarze trzymali nosze, to dostali poparzenia na rękach. Tysiące rentgenów mieli na rękach i skóra im schodziła. Dostali tych poparzeń na rękach tylko dlatego, że trzymali te nosze, że nieśli chorych. Miejsc nie wystarczało, poszkodowanych było mnóstwo, chociaż mówiono, że ucierpieli tylko strażacy, a przecież ucierpiał i personel i mieszkańcy, w moim domu również.

Jest taki rejon „Nachalówka”. Tam były ogrody. To był wtedy wolny dzień i ludzie byli w ogrodach. Było gorąco, ludzie byli porozbierani. Na przykład, moja sąsiadka już wieczorem, 26-ego, kiedy rozdawałam tabletki, dzwonią od niej do mnie i mówią – „Galina, podejdz, ona

bardzo źle się czuje, ma duszności, ma temperaturę 39.” Pytam ją, gdzie była, a ona, że w ogrodzie. Plecy już miała zaczerwienione. Kiedy zadzwoniłam, żeby ją położyć w szpitalu, to mi powiedzieli, że już nie ma gdzie, żeby postawić kropiówkę w domu. I tak wielu osobom pomagało się w domach, dlatego, że na pogotowiu, w szpitalu, nie było gdzie podziąć ludzi, którym trzeba było udzielić pomocy.

A potem te naprawdę ciężkie przypadki samolotami odwozili do Moskwy. Te samoloty potem pogrzebali, tak jak strażaków, bo byli też takimi małymi reaktorami.

Część ludzi dostała się do Kijowa, do naszego szpitala. Tam nie przeszczepiali szpiku kostnego, ale wszczepiali - w tym na przykład mojemu bratu, dwa razy. Brali szpik kostny o - stąd, wzbogacali go i wprowadzali tu.

Ludzie byli spokojni, żadnej paniki. Wywozili nas na trzy dni, a wyjechaliśmy na całe życie. Wszystko zostawiliśmy, oprócz tego co wzięliśmy na samym początku. Potem nam jeszcze pozwolili przyjeżdżać - ktoś nie wziął dokumentów, ktoś zostawił pieniądze, ale niczego więcej nie można było z sobą zabrać. Niektórzy próbowali wjechać tam swoimi samochodami ciężarowymi, próbowali wywozić rzeczy, ale wtedy wezwali tu żołnierzy, całą armię i wyrzucali rzeczy prosto przez okna z 16 - piętrowych, 12- piętrowych bloków. Wszystkie meble wyrzucali, potem ciężarówki zabierały te meble i wywoziły, żeby ludzie tego nie robili, bo wszystko było skażone.

Ja miałam możliwość zabrania mebli. Niedawno co kupiłam nowy komplet mebli - jugosłowiański. I bardzo chciałam go stamtąd zabrać albo chociaż pościel. Po pięciu czy sześciu latach pracowałam w przychodni w Czarnobylu i zdecydowałam, że wywożę ten komplet mebli i postawię sobie w gabinecie. Przywieźli mi go, ustawiłam meble. Potem przyjeżdżam na dyżur, a oni mi mówią: „Galina, tylko się nie gniewaj...”. Wychodzę na dwór, a tam moje meble leżą porąbane. „Meble były tak skażone, że nie mogliśmy ich pani zostawić” i wyrzucili ja porąbane.

Szpital

A to była nasza poczekalnia, o tu - po tej stronie. Tu były prysznicz. Likwidatorzy na noszach zanosili i myli wszystkich pod tymi prysznicami. Oto prysznicz, wanny. To tu była poczekalnia, tu przyjmowaliśmy. Tutaj obmywaliśmy, przebieraliśmy; myliśmy, przebieraliśmy i zawoziliśmy piętro wyżej - tam był oddział chorób wewnętrznych. Tam dalej było laboratorium. Laboratorium pracowało bez przerwy, dlatego że wyniki były na tyle złe, że robiono je prawie co godzinę, żeby wiedzieć ilu ludzi może jeszcze przeżyć, jakiego rodzaju pomocy potrzebują.

Wyżej była chirurgia, na czwartym piętrze reanimacja. Reanimacja pękała w szwach, dlatego ludzie leżeli na podłodze. O tu nosze, teraz ich tu nie ma. Stały właśnie tutaj. Tutaj stały kropiówki. Umyci i rozebrani ludzie tu już byli.

Wtedy byłam prostą osobą. Tyle że pracowałam tu wtedy w „Eurodomu” jako neonatolog. Pracowałam w dwóch przedszkolach i poliklinice. Mnie jako jedynej w Centrum medyczno-

sanitarnym płacili dwie stawki. Dlatego że lekarzy było wtedy jeszcze mało. A dzieci rodziło się wtedy mnóstwo.

Teraz czuję pustkę, po prostu pustkę. Wszystko puste i mówić się nie chce. Nie chcę mówić o „teraz”.

Poradnia była połączona z naszą przychodnią, dlatego że od razu nam przekazywali dzieci... Rodziły... opiekowali się mamami... Zwykle po dwa. Nie jedno dziecko, a po dwa. Dobrze się u nas żyło ludziom. Byli dobrze sytuowani. Praca była. W każdym razie w tamtych czasach czuliśmy się normalnie, jeśli chodzi o kwestie finansowe. Młodzi ludzie mogli sobie pozwolić za pensję kupić lodówkę, telewizor. Teraz jest to niemożliwe dla naszych młodych ludzi. My, chwała Bogu, przeżyliśmy dobre życie. Żyliśmy w zamkniętych, bardzo bogatych miastach, my mieliśmy pieniądze, nasze dzieci wyrosły w zamożnych rodzinach. A teraz, wszystko nie tak.

Przez cały czas myśleliśmy, że wrócimy. I nie było nostalgii, wszyscy byliśmy w euforii, że coś likwidujemy, że pomagamy, że ratujemy. I nie było poczucia rozpacz. Rozpacz przyszła po jakiś 5 latach, kiedy zrozumieliśmy, że tutaj już nigdy nie wrócimy i nasze życie już nigdy nie będzie takie piękne jak było tutaj. A tutaj życie było po prostu piękne. Nasi lekarze właśnie w tym rejonie, przed pracą, za godzinę potrafili zebrać po wiadrze prawdziwków. Wyobrażacie sobie jakie to są miejsca. To takie „rozpustne” miejsca – jagody, tam dalej jeziora pełne ryb w stronę Białorusi. Siadaliśmy do auta i jechaliśmy nad te jeziora, w wszystkie wolne dni, to był cud. I nagle wszystko straciliśmy. Ale kiedy straciliśmy, nie zrozumieliśmy, że straciliśmy.

W pierwszych dniach jeszcze zostaliśmy i pracowaliśmy wszyscy. Moskwa potwierdziła, że żeby limitować radionuklidy potrzebny jest alkohol i my rozdawaliśmy spirytus. Przyjeżdżali z pracy i my ich obsługiwaliśmy i na każdym stole stawialiśmy po czajniku ze spirytusem. A tym, którzy jechali do pracy, kiedy siadali do autobusu, to my staliśmy przed autobusem ze skrzynką wina i każdemu dawaliśmy po szklance czerwonego wina. Trwało to jakieś półtora miesiąca. Przez ten czas wszyscy byli pod wpływem alkoholu, nie było takiego, który by nie był. Ludzie nie byli pijani, ale wszyscy byli pod wpływem alkoholu. Kierowcy, personel operacyjny, nie ma znaczenia kto. Naczelnicy przychodzili do mnie, naczelnik budowy, wszystkim im polewałam, tego spirytusu nalewałam. Ale nie było żadnego wypadku ani niczego. Ale znieśli to po upływie półtora miesiąca. Powiedzieli-zakaz spożywania napoi alkoholowych. Boże mój, trzeba było to widzieć. Jedziemy po drodze, a tu samochód się wala, naprzeciwko też samochód leży. Za rogiem, jedziemy, patrzymy, a tu cysterna, Boże, ona tak leci i leci, zaraz za rogiem cysterna leży. Zaczęły się wypadki. Ludziom opadło napięcie. W momencie jak tylko zakazali alkoholu, zaczęło się. To było po prostu... coś takiego... z tej strony auto leży, z drugiej strony leży.

I potem, po jakiś 3 miesiącach, ludzie żyli bez alkoholu i jakoś wszystko ustąpiło. Takie właśnie epizody w naszym życiu były.

Ale wtedy bardzo się starali, z każdej strony, z całego państwa się zjeżdżali, przyjeżdżali, tak nas karmili... Kawior mieliśmy, wszystkie delikatesy, gotowali jak w domu, barszcz był

taki... to było w pierwszych latach – 86, 87 i jeszcze jakiś czas w 88 roku. Co miesiąc przyjeżdżała nowa ekipa i starali się jak mogli najlepiej, najlepiej ugotować, przywieźć najlepsze prezenty. Organizowali jakieś zabawy, jadłodajnie, wieszali plakaty, piekli korowaj. A potem wszystko stopniowo znikało, odchodziło, odchodziło. Takie też były epizody w naszym życiu.

Dom

A to jest mój dom, Boże jak wszystko zarosło. A tu nasz dom kultury, dalej restauracja, to budynek administracyjny, a tutaj część medyczno-sanitarna. A tu jest basen. To tutaj jeździliśmy. Wyobraźcie sobie. Po awarii też jeździliśmy. Basen był w dobrym stanie, wodę wymieniali. On jest duży. Olimpijski. Tam była sauna. Z sauny też korzystaliśmy. Wiele osób tu jeździło. Wtedy były tu jeszcze przedsiębiorstwa różne. Było oświetlenie. Wszędzie były iluminacje.

Miasto było całe w różach. Widzieliście te zdjęcia, na których wszystko jest w różach. Pełno dzieci i róż. 27 lat- to średni wiek mieszkańców. Bardzo młode miasto, piękne, czyste. Mieliśmy przed sobą perspektywy. Tak bardzo nam się wszystkiego chciało i w jednej chwili wszystko się zawaliło, rozrzuciło wszystkich po różnych miastach. Starsi ludzie nie wyjechali, dali im mieszkania, jest im w sumie wszystko jedno. My ich obsługujemy. Są u nas takie wsie, w których mieszka tylko dwoje ludzi. Tutaj niedaleko jest Szypielici, w którym mieszka jedna rodzina – dziadek z babcią. Jeździmy do nich, to jest jeszcze za Prypecią.

To było moje drugie mieszkanie, po tym jak rozeszłam się z mężem. Dostałam jednopokojowe mieszkanie. O tu jest stacja Janów. Tutaj wsiadaliśmy, jechaliśmy przez noc i Moskwa. Aż żal. O, tabliczka, 67. Oto ona. W naszej klatce mieszkało 2 felczerów, Kolaniech mu ziemia lekka będzie, umarł w młodym wieku. Otroszczenko- jego zdjęcie było na tablicy. Kiedyś tu przyjeżdżał. Na 4 piętrze kobieta, która była napromieniowana. Ona jest teraz w Leningradzie. Zrobili jej przeszczep szpiku, 2 albo 3 razy, przeżyła. I Otroszczenko, Pietja, który pracuje teraz w pogotowiu, ale ma teraz urlop. I tak w trójkę tutaj, i ja-lekarz. Mieszkaliśmy.

Jeśli by nie zarosło, z okna widać by było stację. Kiedy był wybuch moje łóżko stało tutaj. I siadłam tak i myślę – to jest bomba atomowa. Na Kijów zrzucili. Wojna się zaczęła. Będzie fala uderzeniowa, promieniowanie świetlne. Siedzę, siedzę, nic się nie stało. Więc położyłam się znowu i zasnęłam. Zbudził mnie dzwonek telefonu, w którym mnie uprzedzono, że zaczęła się awaria. Okno było otwarte, napromieniowało meble, pościel. Wywiozłam stąd metalowe pudełko z fotografiami. A ono do tej pory jest napromieniowane. Minęło 25 lat. Wzięłam je, wyrzucić nie mogę, mam tam zdjęcia z całego mojego życia. Pudełko przywiózł mąż z olimpiady, pudełko z cukierkami, tam były różne cukierki. Był na olimpiadzie w Moskwie i przywiózł to pudełko. A ja do niego chowałam zdjęcia. A ono cały czas jest napromieniowane.

Życie byłoby piękne. Piękne. Miałam dobrą pozycję. Miałam szeroki krąg znajomych, miałam przyjaciół. Do dziś utrzymujemy kontakty. Tutaj był rajski zakątek. Życie tutaj byłoby wspaniałe. To mieszkanie... Mówią mi, Galina, coś ci znajdziemy, jakieś porządne

mieszkanie, duże. Wszystko bez problemu. Wszystko było bez problemu. Do wszystkich odnoszono się tutaj bardzo dobrze. W końcu większość to byli pracownicy elektrowni. To tak jak „Sriedmasz”. A wobec „Sriedmasza” zawsze był szacunek. Wiecie co to takiego „Sriedmasz”? To elektrownie atomowe i zakłady o znaczeniu obronnym. Na przykład „Jupiter”, przejeżdżaliśmy koło „Jupitera”. To był właśnie taki zakład.

Otoczenie było wspaniałe. I pieniędzy wystarczało. Wszystko było. A miejsce było zachwycające. Dlatego wszyscy tu zjechali.

W tym mieszkaniu na 5 piętrze mieszkała kobieta, która jest teraz w Leningradzie. Dostała 400 remów, 600 to już dawka śmiertelna. A ona miała 400 i zawieźli ją do Moskwy i w naszym instytucie, w Łomonosowie, nie w Łomonosowie, jak się to nazywa, zapomniałam, i zrobili jej przeszczep szpiku i przeżyła.

Nade mną mąż kobiecie zmarł. Ona ma cukrzycę. Odcięli jej nogi. Dzieci chore na tarczycę. Problemów teraz mnóstwo. Mają je ci, którzy byli ewakuowani ze strefy. Ja mam tarczycę na węzłach, migotanie przedsionków. Tak nam mówili, że wszystko przyjdzie po 10 latach. Po dziesięciu latach będziemy odczuwać skutki katastrofy.

Ta kobieta z 5 piętra, której umarł mąż, która ma cukrzycę. Przez ostatnie 3 lata nie miałam z nią kontaktu, i tak mi się wydaje, że jest już królestwie niebieskim. Tych dwoje z Leningradu. Kiedy nas ewakuowali mieszkaliśmy wszyscy razem, spałyśmy na jednym łóżku. Ona dostała 400 remów, była małym reaktorem, a spałam z nią na jednym łóżku. Dlatego że nie było miejsc.

A tu niedaleko warzywniak. Tutaj chodziliśmy na zakupy. Zawsze doby kawałek mięsa się dostało. Tutaj nas ceniono. A w Kijowie jesteście nikiem i niczym. Nie lubią nas tam, bo nam przyznano ulgi, a Kijowianie ich nie mają. Oni też niedaleko od elektrowni. Dzieci też ucierpiały pod tym względem. Ale nic nie dostali. Dlatego nas nie lubią...